

Zwyczajna i szczęśliwa

Z Anną Dymną, aktorką Starego Teatru w Krakowie,
rozmawia Anna L. Frankowska

– Porozmawiajmy o mężczyznach...

– O, to ja jestem rozmówcą do niczego, chociaż kocham całe życie – mężczyzn też! Bez nich świat byłby nudny i bez sensu. Ale pani pewnie by chciała, żebym opowiedziała o kochankach, prawda? Czytelnicy to podobno uwielbiają, tylko widzi pani – ja nie wiem kochanków. Moim udziałem nie są także żadne skandale. Ludzie myślą, że w teatrach, na planie filmowym bóg wie, co się dzieje, bo „ona się z nim całowała”... I co z tego? To jest tylko rola. Nigdy w życiu nie odczuwałam w łóżkowych scenach podtekstu erotycznego. Aktorki i aktorzy pracują na najwyższych diapozonach nerwów; musimy się przed sobą odkrywać, wygłupiać, nieraz kompromitować, w związku z czym wytwarzają się między nami takie więzi, jakie nie mogą się wytworzyć między innymi ludźmi. Gdyby nie moi koledzy aktorzy, to mnie by już nie było. Oni byli zawsze w takich najgorszych momentach mego życia moją rodziną, moją ostoją. Ela Karkoszka, gdy spaliło mi się mieszkanie, nagle umarł mój mąż i zaraz potem omal nie zginęłam w wypadku samochodowym – była dla mnie wszystkim. Dała mi dom, ciepło, opiekę i bardzo długo znosiła te wszystkie moje cierpienia. Tylko między aktorami może coś takiego powstać...

Co jeszcze niezwykłego jest w tym zawodzie? Nieraz pracuję z koleżanką czy kolegą rok, dwa, trzy lata z rzędu, bardzo się do siebie zbliżamy, przywiązujemy, wiemy o sobie wszystko, a potem się rozstajemy i nikt nie zna odpowiedzi na pytanie, czy się jeszcze kiedyś w życiu spotkamy. My o sobie tak strasznie dużo

wiemy, że uważam, iż powinno nas obowiązywać coś w rodzaju tajemnicy spowiedzi.

– Czy można wysnuć z tego wniosku, że to, co niektórych widzów tak bardzo podnieca i interesuje – sceny rozbierane – nie stanowi dla pani żadnego problemu?

– Mnie sprawę rozbierania na planie ktoś ustawił, gdy byłam jeszcze na studiach: „Jak się wstydzisz rozbierać, to idź pracować na pocztę, tam nie będziesz musiała”. Aktorstwo to jest normalny zawód i w ramach wykonywania tego zawodu dzieją się ze mną takie rzeczy, na które ja pozwalam, żeby się działy. Po przeczytaniu scenariusza znam koleje losu postaci i jeśli mi nie odpowiadają, to po prostu nie przyjmuję roli. W momencie, kiedy podpiszę kontrakt, nie mam już nic do gadania. Kiedy na przykład w „Antygonie w Nowym Jorku”, reżyserowanej przez Kutza w Starym Teatrze, mają mnie gwałcić, to koledzy robią ze mną, co muszą. Oczywiście mnie nie gwałcą, ale szturchają, szarpiają, drapiają, ja się wyrwam, wydzieram, robię z siebie zwierzę, bo to jest taka rola. Ja uprawiam w tym momencie zawód. Zawód w ogóle strasznie brudny i niehigieniczny. W tej pracy spadają na człowieka tony pyłu, my na siebie nawzajem plujemy, kichamy, przekazujemy sobie wirusy, łapiemy wszelkiego rodzaju grzybice, muszę się całować z obcymi mężczyznami – teraz na szczęście rzadziej, bo grywam już raczej mamuśki, ale przecież całe życie to robiłam...

– Więc jednak bliskość fizyczna czasem ciąży?



– Ale ja się przyjaźnię z moimi kolegami aktorami, mnie ich bliskość nie sprawia przykrości. Mam tak kochanych kolegów, że gdyby trzeba było oddać nerkę albo jedną rękę, to dla wielu z nich bym oddała bez zastanowienia; to są ludzie tak mi bliscy, jak mój syn, jak mój mąż, tylko bliscy inaczej.

Szczerze mówiąc, tylko raz w życiu grałam z kolegą, który jak się do mnie zbliżał, to mi się robiło niedobrze, ale on – wie pani – o tym w ogóle nie wiedział; tak się starałam.

– Takie podwójne granie chyba wiele kosztuje?

– Za uprawianie tego zawodu w ogóle płaci się strasznie cenę... Przecież ja często w ogóle nie wiem, co to znaczy być normalnym człowiekiem, mam tylko



Fot. PATR. Kornecki

obowiązkami. I dlatego muszę w tych obowiązkach widzieć przyjemność, bo już bym dawno zwariowała... To jest zawód niezwykle wyczerpujący. Sam fakt, że raz o czwartej rano kładzie się pani spać, a następnego dnia o czwartej rano trzeba wstawać, by zdążyć na plan, a tu dziecko, dom, obiady, wywiadówki, mąż, ogród, obowiązki... Pogodzić to wszystko jest tak naprawdę niemożliwe.

Pamiętam na przykład, gdy syn miał rok, a ja musiałam na miesiąc wyjechać na plan filmowy. On miał opiekunkę, moją mamę, mojego brata, miał wszystko, czego potrzebował, ale ja, tam, na planie, myślałam, że oszaleję. Wiele lat żyłam w strasznym poczuciu winy, że jestem złą matką, bo mnie ciągle nie ma w domu. Mój syn od urodzenia chodzi

spać o jedenastej w nocy, bo on zawsze czeka aż mamunia wróci z teatru.

Ale wie pani, przez co ten zawód jest jeszcze bardziej okrutny? Przez to, że człowiek tak dużo dla niego poświęca, pracuje, pracuje, pracuje, a potem nagle dostaje kopa i jest kompletnie niepotrzebny, i wtedy zwykle się załamuje, jeżeli nie potrafi sobie jakoś mądrze zorganizować życia.

– Pani na szczęście nie przeżyła nigdy momentu, że była aktorką niepotrzebną.

– Nie przeżyłam takiego momentu, ale mam 48 lat, a dla takich kobiet jest coraz mniej ról. Kiedy zaczyna się robić karierę, kiedy jest się młodym, jak przychodzą pierwsze okładki, popularność, to trzeba być strasznie mądrym –

a skąd mamy być mądrzy, skoro jesteśmy młodzi? – by nie dać się temu ponieść i uwieść, i nie zgłupieć... Taki sukces bywa gorszy od klęski, bo człowiek myśli sobie „jestem lepszy od innych” i zaczyna szaleć. A mnie mój pierwszy mąż, Wiesio Dymny, mówił: „Ty gwiazdą? A co to, księgowa, która dobrze wykonuje swój zawód, jest gorsza od ciebie? A śmieciarz, który porządnie sprząta? Masz dobrze wykonywać swój zawód, ma cię on cieszyć, a gdy cię przestanie cieszyć, to należy przestać go uprawiać. Jaka gwiazda? Co, masz może nie gotować obiadów, nie sprzątać? Ty masz być przede wszystkim człowiekiem...”

Tu, w tym domu, Wiesiek uczył mnie murować ściany, malować, zbijać meble i to mi pomogło potem przetrwać. Umiałam wiele rzeczy zrobić i nigdy nie oszalałam. Nigdy nie poczułam się kimś lepszym, ważniejszym, a to ludzi zabija. Był taki czas w moim artystycznym życiorysie, że mogłam rzucić wszystko i pojechać do Niemiec czy do Hollywood robić karierę. Byłam młoda, miałam mnóstwo możliwości, propozycji, ale ja nie goniłam za sławą, za przepychem, bo nigdy nie miało to dla mnie wielkiej wartości.

– We wszystkich wywiadach tak mocno podkreśla pani swoją zwyczajność, że to aż podejrzane. Przecież pani nie jest zwyczajna...

– Nieprawda, ja jestem zwyczajna. Szła pani tu do mnie po tych schodach na strych? Ja muszę wnieść po nich codziennie zakupy – każdy chleb, każdy litr mleka. Ja normalnie żyję, normalnie muszę zarabiać pieniądze, normalnie muszę prowadzić dom... O tyle jestem niezwykła, że od czasu do czasu maluję się, zakładam piękną długą suknię i jadę na jakąś imprezę, a wszyscy mówią: „O, ją to wożą, jej robią zdjęcia, ona ma dobrze”.

Tu, w Krakowie, zawsze robiłam za milionerkę. Ile ja „mam” willi, żeby pani wiedziała... Ludziom jest potrzebny taki niezwykły świat i oni mnie w ten świat wkładają. Nie wiedzą, że ja na przykład robię przetwory, szybko myję ręce, lecę na scenę, gram królową, po czym wracam do domu i myję podłogę, piorę, prasuję. Obowiązki domowe sprawiają mi zresztą ogromną radość, bo są dla mnie odskocznią od



Fot. PAT

W serialu telewizyjnym „Siedlisko”

publicznego życia, a z kolei podejrzewam, że siły do grania, do tego, żeby grzebać się we własnej duszy czerpię stąd, że mam normalne życie rodzinne. Dzwonią tu czasem do mnie o jedenastej w południe jacyś dziennikarze i mówią: „Och, przepraszam, że tak wcześnie dzwonię”, a mnie w tym momencie szlag trafia. Bo ja codziennie – czy trzeba, czy nie – mam biologiczny zegar ustawiony na wpół do siódmej. Z wyjątkiem tych dni, gdy robię film i muszę pociągiem 6.05 jechać do Warszawy, bo wtedy wstaję o 4.30.

Podkreślam tę swoją zwyczajność, bo muszę o nią walczyć tak, jak inni walczą o niezwykłość. Widzi pani, co się wokół dzieje – teraz wszyscy wdzierają się na siłę w naszą prywatność i jeden mówi: „Chcę sfotografować pani szafę”, inny chce fotografować moją łazienkę, kuchnię, sypialnię, syna, kota, pani przychodzi i chce rozmawiać ze mną o mężczyznach... Kiedy niedawno wybudowaliśmy z mężem dom pod Krakowem, postanowiłam nikogo tam nie wpuszczać; nawet mąż uważa, że przesadzam.

– Krzysztof Orzechowski – aktor, reżyser, dyrektor Teatru Słowackiego, jest pani trzecim mężem...

– Jeśli pani tak koniecznie chce o tych mężczyznach, to powiem pani, co jeszcze zostało mi przez zawód ode-

brane. Nigdy nie wiedziałam i wciąż nie wiem, jakie wrażenie robię na mężczyznach. Raz w życiu wybrałam się na bal, na normalnego sylwestra, bo pomyślałam: wreszcie się wybawię. I przez całą noc nikt spoza mojego towarzystwa nie poprosił mnie do tańca. Dopiero o czwartej rano zrobił to jakiś pijany facet. Gdy zapytałam, dlaczego nie wcześniej, odpowiedział: „Bo się bałem, a teraz założyłem się z kolegą, że z panią zatańczę, no i się odważyłem”.

Życie mnie nauczyło, że jeśli facet mdleje na mój widok, to nie dlatego, że robię na nim wrażenie jako kobieta, tylko dlatego, że jestem aktorką. Niedawno bardzo się przejęłam, bo uwodził mnie w pociągu mężczyzna. Jakiś inżynier z Francji, który nie miał pojęcia, czym się zajmuje. Naprawdę mnie uwodził. Ja to rozróżniam, bo to jest całkiem inaczej, kiedy facet się mizdrzy, bo widzi „tę Dymną, aktorkę”, a co innego, kiedy widzi we mnie kobietę. To było dla mnie tak szokujące, że nie wiedziałam zupełnie, jak się zachować.

– Gdy przeczytałam książkę o pani i o serii straszliwych nieszczęść, jakie kiedyś panią dotknęły, pomyślałam, że może Pan Bóg chciał przez to wszystko odciągnąć panią od tego tak okrutnego zawodu?

– Nie chciał mnie odciągnąć od zawodu. Ja z nim czasem rozmawiam

Anna Dymna, rocznik 1951, absolwentka krakowskiej PWST, od dzieciństwa marzyła o zawodzie psychologa. Aktorką została za namową Jana Niwińskiego – aktora i znawcy teatru. Zadebiutowała już podczas pierwszego roku studiów rolami Isi i Chochola w „Weselu” reżyserowanym przez Lidę Zamkow.

W roku 1970, podczas nakręcania debiutanckiego filmu „Pięć i pół Błatego Józka”, poznała aktora, literata i malarza w jednej osobie – Wiesława Dymnego, swego przyszłego męża, który wywarł silny wpływ na jej osobowość jako człowieka i artystki.

Zagrała – przeważnie główne role – w ponad 50 filmach polskich i zagranicznych. Najbardziej znane to: „Kochaj albo rzuć”, „Nie ma mocnych”, „Znachor”, „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny”, „Mistrz i Małgorzata”, „Tylko strach”, „Pestka”, a ostatnio serial „Siedlisko”.

Ma na swoim koncie wiele wybitnych ról teatralnych, wykreowanych pod okiem takich reżyserów, jak Swinarski, Jarocki, Wajda, Grzegorzewki, Kutz.

Laureatka wielu nagród; między innymi za rewelacyjną rolę Molly Bowser w „Palcu bożym” Caldwell, wyreżyserowanym przez Teresę Kotlarczyk, otrzymała w 1994 roku nagrodę im. A. Zelwerowicza oraz nagrodę na II Festiwalu Polskiej Twórczości TV.



Fot. PAT

W filmie „Tylko strach”

i wiem, co on chciał mi powiedzieć – żebym nie była delikatną roślinką. Chciał, żebym trochę obrosła w korę i żebym się wzmocniła. Widocznie wiedział, że to, co mi zsyła, nie złamie mnie i tak się stało. Zamiast się rozpić, popełnić samobójstwo, nabrałam większej radości życia, tolerancji, jestem dużo większą optymistką. Kiedyś byłam szczęśliwa i w ogóle o tym nie wiedziałam. A teraz, gdy się budzę rano i mogę wstać, mam dwie ręce, dwie nogi, obok mnie – zdrowe dziecko, zdrowy mąż i kot, który coś tam mruczy, jestem po prostu niewyobrażalnie szczęśliwa.

– A kiedy Anna Dymna jest szczęśliwa, to aktorstwo jest...

– Aktorstwo jest pewnego rodzaju aktem odwagi, przełamywaniem barier, doszukiwaniem się w sobie takich rzeczy, o których człowiek nie miał pojęcia, że istnieją. Zachowawcze granice – „tu się pani zaśmieje, a tu zapłacze” – mnie już w ogóle nie interesuje. Lubię, kiedy reżyser do czegoś mnie namawia, popycha, podpuszcza. W tym zawodzie najcudowniej jest wtedy, gdy się przekracza progi własnych możliwości. Najciekawsze jest to, że ciągle poznaje się jakieś nowe światy... Ja wcale nie mam w sobie tego, co mają moje postaci. To są rzeczy, które odkrywam. Podobno w człowieku jest

wszystko – wielu reżyserów mówi: „Masz to w sobie, masz to w sobie”, a ja nie jestem zwolenniczką tezy, że trzeba mieć w sobie wszystko, co potrzebne do każdej roli, do każdej sceny. Ja bardzo potrzebuję dobrego reżysera. I mam takich, z którymi może i przegram, ale w każdej chwili pójdę za nimi w ślepo, bo sama ta droga jest fascynująca. I nie liczy się nawet efekt, nie jest ważne, jaką się gra rolę; ważne jest, z kim się nad tą rolą pracuje.

Wiele lat temu Tomek Zygadło robił „Ich czworo” Gabrieli Zapolskiej. W głównych rolach obsadził Ankę Seniuk, Wojtkę Pszoniaka, Jurka Stuhra, a mnie zaproponował rolę dziecka, które w tej sztuce mówi ze dwa zdania. Miałam już 34 lata i pomyślałam sobie: „O nie, znowu dziecko, czy oni kompletnie zwariowali?” Odmówiłam Zygadłowi, ale on przyjechał do Krakowa i zaczął mnie namawiać, tłumacząc, że w tej roli jest to, tamto, owo... Stuhr też mnie namawiał, bo chciał mieć towarzystwo w drodze do Warszawy, na próby. Zgodziłam się w końcu i okazało się, że rola tego dziecka to dla aktora kopalnia bez dna. Świętej pamięci Jurek Bińczycki, gdy obejrzał mnie w tym spektaklu, zadzwonił i powiedział: „To jest najlepsza rola, jaką do tej pory zagrałaś”. Od tamtego momentu wiem, że wartość tego,

co robimy, zależy od tego, z kim pracujemy i co ten ktoś widzi w swoim dziele. A co aktorowi przyjdzie z tego, że będzie grał Hamleta z jakimś idiotą reżyserem, w jakimś koszmarnym, złym spektaklu?

– Czy którąś z ról pokochała pani bardziej niż inne?

– Największą radość dała mi Małgorzata w „Mistrzu i Małgorzacie” Bułhakowa. Tę książkę czytałam z osiemnastu lat, ale gdy Maciej Wojtyczko zaproponował mi tę rolę, powiedziałam „nie”. Przestraszyłam się. Na szczęście Wojtyczko był uparty i dzięki Bogu, bo Małgorzata to kopalnia kobiecych tajemnic, nigdy niezrozumiała do końca postać. Trudno powiedzieć, czy to była najtrudniejsza rola, ale na pewno jedna z najciekawszych.

– Czy swoich studentów też pani uczy takiego ambitnego podejścia do aktorstwa?

– Uczę ich przede wszystkim tego, czego uczył mnie Jan Niwiński, który mieszkał w tym samym domu, w którym mieszkałam z rodzicami, był aktorem i wprowadzał mnie powolutku w dziwny tajemniczy świat teatru – że to jest tak ciężki zawód, wymagający takich wyrzeczeń, że jeśli się go nie kocha, to nie można go uprawiać. Jeśli ktoś nie czuje radości, kiedy uczy się tekstu, kiedy wchodzi na scenę,



Fot. PAT

Z Janem Englertem w filmie „Ukryty śmiech”

czy staje przed kamerą, tylko kombinuje, w jaki sposób może więcej zarobić, to nie powinien uprawiać aktorstwa. To jest najważniejsza prawda o tym zawodzie.

– I oni kupują tę prawdę?

– Oni są przede wszystkim przerażeni. Są bardziej przestraszeni i smutniejsi niż my byliśmy w ich wieku. Wbrew logice czasów. My żyliśmy w czasach ohydnej ponurej komuny i przez sam fakt, że byliśmy w szkole teatralnej, czuliśmy się wybrańcami. Teraz na pewno trudniej być aktorem. Młodzi ludzie mają mnóstwo atrakcji i oni muszą sami znaleźć odpowiedź na pytanie, co to w ogóle znaczy być aktorem? Czy to znaczy, że się kocha teatr i gra za pół darmo w ambitnym repertuarze? Czy może – że będziemy pracować w reklamie i będziemy zarabiać szmal?

Gdybym w tej chwili miała wybierać zawód, to nie zostałabym aktorką. Naprawdę. W tej chwili wymaga się od aktorów, by byli takimi fabrykami do produkowania uczuć, do bawienia gawiedzi za pieniądze. Proszę popatrzeć na te wszystkie importowane seriale... Coraz częściej bywamy też komedianami do wynajęcia. Nieraz proszą mnie, bym coś wręczyła czy uświetniła. Idę na imprezę, a tam ktoś mnie łapie za rękę

albo szarpie za suknię i mówi: „Cześć, Anka!” Nie znam faceta, pierwszy raz go widzę, ale on ma na koncie miliony i wydaje mu się, że jak płaci mi tysiąc złotych, to mu wolno wszystko.

– Uważa pani, że granie w serialach to coś gorszego niż granie w teatrze?

– Skądże, sama zagrałam w „Siedlisku” i bardzo lubię ten serial. Nie mówię, że ten, kto gra w telenoweli to gorszy aktor. Telenowela jest bardzo potrzebna – ludzie niesamowicie utożsamiają się z postaciami, więc można przez takie filmy wyrabiać gusty, uczyć rozwiązywania życiowych problemów. Niedawno brałam udział w telewizyjnej dyskusji o serialach i dowiedziałam się na przykład, że jakaś fabryka wyprzedawała w ciągu kilku dni całą produkcję filizanek, które „grały” w „Klanie”. Serial to wielka siła i właśnie dlatego uważam, że powinno się to robić porządnie, na najwyższym poziomie, z udziałem najlepszych aktorów, a nie na kolanie, bo brakuje pieniędzy.

– Skończyła pani właśnie nakręcać film reżyserowany przez Jerzego Stuhrę, który gra także główną rolę męską. To nie serial, prawda?

– Nie, to białoczarne film telewizyjny. Scenariusz jest tak piękny, że aż głupio mówić, jedyny dotychczas nie

zrealizowany scenariusz Krzysztofa Kieślowskiego. Nazywa się ten film „Duże zwierzę” i ma w sobie coś niezwykłego, magicznego; jest o tolerancji, o tym jak traktujemy odmieńców.

Kręciliśmy to dosyć szybko, bo znów były kłopoty z pieniędzmi (nawiasem mówiąc, nie wiem, dlaczego na takie przedsięwzięcia nie ma pieniędzy), ale nie było jak. I tam po raz pierwszy – to panią pewnie zainteresuje – zakochałam się w partnerze.

– Jeśli w panu Stuhrze, to panią rozumiem...

– Jurek to prawie mój brat i kocham go od zawsze! Mój nowy idol nazywa się Rubio i jest wielbłądem. Dwugarbnym. Tak naprawdę to on gra główną rolę. My z Jurkiem gramy małżeństwo i właśnie przed naszym domkiem, gdzieś w miasteczku X, pojawia się to duże zwierzę. Rubio ma dobry charakter, jest łagodny, piękny i ma w sobie taką królewską. Pada deszcz, błoto po kolana, a on zachowuje cały czas stoicki spokój i powagę. Patrzyłam na niego i myślałam: „Boże, żebym ja tak potrafiła... Tak splunąć na rzeczywistość” – bo on czasem pluł jak się zdenerwował, nigdy na szczęście na nas.

– I tak w rozmowie o mężczyznach dodryfowałyście całkiem przypadkiem do plującego wielbłąda... Czy, wracając do nie plujących dżentelmenów, mogłabym poprosić panią o wyjawienie, co najbardziej drażni panią w mężczyznach, a czym mogą sobie zyskać pani przychyłność?

– Wie pani, ja nie umiem mówić o mężczyznach jako o gatunku samczym. Oceniać umiem w nich nie „mężczyznowość” a człowieczeństwo, a każdy człowiek jest przecież całkiem inny; jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny i co u jednego drażni, u innego jest ujmującym walorem. Kiedy kobieta kocha, wady ukochanego ją rozczulają, a z niego czynią tego „jednego jedynego”. Kiedy kobieta kocha, znieśie wszystko, prawda?

– Prawda. Nawet to, że on jest wielbłądem. A propos – kiedy ten film z wielbłądem będzie można obejrzyć w telewizji?

– Chyba jesienią. Wszystko o produkcji i terminach wie Jurek.

– Zadzwońmy w takim razie do pana Stuhrę. ■